

## ROZDZIAŁ

1

Z zapisków Jana Kościelnego, historyka, kronikarza Opactwa Redwall w krainie Mossflower.

Zbliża się najdłuższy dzień tego lata, Lata Żółtych Łąk. Ująłem dziś pióro, zdjąłem z półki kronikę, zasiadłem wygodnie w chłodzie i mroku mojej małej, przytulnej pracowni. Siedziałem za biurkiem z piórem w łapie, lecz i niepokojem w sercu, wsłuchując się w radosne odgłosy, dobiegające z oświetlonych słońcem krużganków Opactwa. Nie mogłem znieść samotności, radosne odgłosy zabawy wywołały mnie na dwór. A jednak mam do wypełnienia obowiązki kronikarza, wziąłem więc ze sobą księgę oraz pióro. Wszedłem na zewnętrzne mury i stanąłem tuż nad Domem Wojownika i furtą przy głównej prowadzącej do Opactwa bramie.

Co za wspaniały dzień! Niebo ma ten niezwykły kolor błękitu, tak charakterystyczny dla naszego lata. Nie widzę na nim najmniejszej nawet chmurki. Ciepłe słońce rozleniwiło pracowite zwykle pszczoły, brzęczące sennie, bez przekonania. Koniki polne grają swe niezmiennie melodie. Na zachodzie aż po horyzont rozciąga się niezmierna równina, drżąca w upalnym powietrzu. Widok tego zielonego dywanu natury, naznaczonego plamami jaskrów, nagietków i dmuchawców, zapiera dech w piersiach; jeszcze nigdy nie widzieliśmy tu tak wielu żółtych kwiatów. To opat Mordalfus nazwał to lato Latem Żółtych Łąk. Bardzo mądry wybór. Widzę naszego ojca opata, wychodzi z za rogu zabudowań przy dzwonnicy, podwinął wysoko rękawy habitu, dyszy ciężko, pomagając młodym leśnym stworzeniom dźwigać pnie, przeznaczone na stołki dla uczestników wielkiej uczyty w ósmym, licząc od wojny, lecie pokoju i zasobności.

Wydry pływają leniwie w sadzawce, pogryzając jadalne rośliny wodne, ale głównie bawiąc się, a nawet wygłupiając; wszyscy wiemy przecież, jakie są wydry. Małe jeże i krety poszły do wschodnich sadów. Słyszę, jak śpiewają, zbierając świeże jagody, wczesne damascenki, gruszki, śliwki i jabłka, które wiewiórki zrzucają im z najwyższych gałęzi drzew. Śliczne małe myszki i norniczki chichoczą, a często nawet śmieją się głośno, wybierając kwiatki do dekoracji stołów; niektóre plotą kolorowe wianki i zakładają je sobie na główki, zaś wokół mojej głowy przemykają wróble, niosąc w dzióbkach smakowite w ich przekonaniu kąski, znalezione w ziemi lub schwytane w powietrzu (osobiście nie wyobrażam sobie, jak jakieś stworzenie — z wyjątkiem ptaka — może uznać za smakowite to, co wróble znajdują lub chwytają). Wkrótce pojawi się Pierwszy Kret ze swym zespołem i zaczną kopać jamy do pieczenia. Tymczasem przyglądam się pracy mieszkańców naszego Opactwa, które widzę stąd na tle ukochanego lasu Mossflower, i zwykłemu, toczącemu się tu, spokojnemu życiu. Zielony, pogodny las, stare, wysokie drzewa i ani odrobiny wiatru, który poruszyłby gęstymi konarami dębów, jesionów, wiązów, buków, cisów, jaworów, brzoź, jodeł, wierzb... zieleń we wszystkich możliwych odcieniach, liście we wszystkich możliwych kształtach, osłona i piękna oprawa północnej i wschodniej ściany Opactwa.

Tylko dwa dni dzieli nas od naszej corocznej uczyty. Znów czuję się jak upojone radością młode leśne stworzenie! A jednak, jako historyk i kronikarz, nie mogę przecież zakasać rękawów habitu i dołączyć do bawiącej się młodzieży. Skończę więc te zapiski najszybciej, jak to tylko możliwe, a potem, kto wie? Może zejdę z murów i dołączę do starszych, zgromadzonych w piwniczce. Wiem, że są tam i próbują październikowego piwa oraz porzeczkowego wina z poprzednich lat, chcąc sprawdzić, czy zachowało odpowiedni smak i przechowywane jest we właściwej temperaturze; dotyczy to zwłaszcza wina z czarnego bzu, nastawionego ostatniej jesieni. Rozumiecie oczywiście, że jeśli zejdę do piwniczki, to wyłącznie po to, by pomóc starym przyjaciółom.

Jan Kościelny, kronikarz Opactwa Redwall

(uprzednio w kościele Świętego Niniana)

## ROZDZIAŁ

2

Ukośne promienie popołudniowego słońca wpadały przez szczeliny w ścianach i dziury w dachu starego, zdewastowanego kościoła Świętego Niniana. Widać w nich było ruinę, w jaką popadł kościółek. Wśród połamanych, gnijących ławek rósł perz i oset.

Slagar machnął łapą, rozpędzając chmurę krążących wokół głowy komarów. Wyrzał przez szczelinę w deskach drzwi na poszarzały gościniec, kręty, biegnący mniej więcej na południe i docierający do lasu od jego wschodniej granicy.

Lis patrzył i milczał. Oddychał urywanie, zakrywający jego cały łeb kaptur w fioletowo-czerwone romby wydymał mu się na pysku. Kiedy przemówił, okazało się, że głos ma cichy, ochryply, jakby kiedyś strasznie zraniono mu krtań.

— Nadchodzą! Otwierajcie boczne drzwi! Szybko!

Do kościoła wjechał długi, jaskrawo pomalowany wóz, pokryty płótnem we wszystkich kolorach tęczy, ciągnięty przez kilkanaście nieszczęsnych stworzeń przykutych do dyszła. Na koźle siedział gronostaj, bijąc je okrutnie cienką wierzbową witką.

— Przyłóżcie się do roboty, ślicznotki! — pokrzykiwał.

Za wozem szła banda przeróżnych szkodników: gronostajów, kun i łasic, przyozdobionych podobnie jak ich kompani towarzyszący Slagarowi; wszyscy mieli szerokie płócienne pasy, za które pozatykali przeróżną, lecz na ogół nędzną broń: zardzewiałe sztylety, noże i zwykłe metalowe szpikulce. Niektórzy mieli także włócznie oraz dziwacznych kształtu topory o pojedynczym ostrzu. Slagar Okrutny pogonił ich niecierpliwie.

— Ruszcie się! Szybko! Natychmiast zamknijcie te drzwi.

Gronostaj zeskoczył z kozła.

— Mam wszystkich, Slagarze — zameldował — z wyjątkiem tej wydry. Nie miała sił iść dalej, więc ją wykończyłem, a ciało wyrzuciłem do rowu i nakryłem paprociami. Mrówki wraz z innymi robalami już się o nie zatroszczą.

Zakapturzony lis prychnął gniewnie.

— Chodzi tylko o to, czy ktoś cię zauważył, czy nie. W Mossflower wieści rozchodzą się szybko. A my musimy pozostać w ukryciu, póki nie wróci Vitch.

Dwunastu przykutych do dyszła jeńców: myszy, wiewiórki, nornice, kilka niewielkich jeży oraz młoda borsuczycza znajdowało się w stanie całkowitego wyczerpania. Jedno z nich, wiewiórka mająca za sobą zaledwie parę pór roku, jęknęła żałośnie:

— Wody... proszę, dajcie mi wody!

Gronostaj-woźnica wymierzył jej potężny cios wierzbową gałęzią.

— Wody? Ja ci dam wody, ty żabo! A może chcesz posmakować tego? No to masz!

Slagar nadepnął na koniec witki, zapobiegając kolejnemu ciosowi.

— Pół Oгона, ty idioto, chcesz mieć niewolników na sprzedaż, czy trupy? Naucz się używać głowy, gronostaju! Daj pić tej małej. Hej, Pokurcz, niech wszyscy dostaną wody i jakieś korzonki czy liście do zjedzenia, bo nie będą się nadawać do niczego!

Kuna nazwana Pokurczem natychmiast popędziła spełnić polecenia Slagara.

Gronostaj pociągnął gałąź, próbując ją uwolnić. Zakapturzony lis tylko mocniej przycisnął ją łapą.

— No i co, Pół Oгона, mój ty twardzielu? Czyżbyś miał ostatnio kłopoty ze słuchem? Zdaje się, że poleciłem ci jechać lasem?

Gronostaj puścił gałąź.

— A tak, oczywiście... i jechałem lasem, jak długo było to możliwe — powiedział, wyraźnie oburzony. — Próbowałeś może kiedyś przejechać przez ten tam las wozem z dwunastoma niewolnikami?

Slagar Okrutny podniósł witkę. Kaptur napiął mu się na pysku, gdy gwałtownie zaczerpnął tchu.

— Zapominasz się, gronostaju! Mnie nie obchodzi powożenie, ja jestem od rządzenia! Kiedy dosłownie przed chwilą wyjrzałem na gościniec, zobaczyłem, jak napuszony, dumnie jedziesz jego środkiem w pełnym świetle dnia! Nie rozumiesz, że byle wartownik na murach Opactwa mógł dostrzec kurz spod kół wozu? To wcale nie jest tak daleko!

Pół Ogonia nie rozpoznał zbliżającego się wielkimi krokami niebezpieczeństwa.

— E tam! — wzruszył ramionami. — Doprawdy nie wiem, o co ci chodzi. Przecież i tak nic nie widzieli.

Slagar machnął witką, gronostaj wrzasnął z bólu. Przyłgnął do wozu, jakby w ten sposób mógł obronić się przed spadającym mu na głowę i barki gradem bolesnych razów.

— Już ja ci wytłumaczę, o co chodzi, ty głupcze! Chodzi o to, że ze mną się nie dyskutuje! Ja tu rządę! Albo to sobie zapamiętasz, albo przerobię ci skórę na szmaty! — Slagar chrypiał ciężko przy każdym słowie i każdym ciosie.

— Ach, ajajaj, litości, proszę, przestań! Nigdy więcej, nigdy więcej, wodzu!

Slagar złamał witkę i rzucił ją pogardliwie na opuchnięty łeb gronostaja.

— Och, czy mi się zdaje, czy rzeczywiście odzyskałeś słuch? Wytnij sobie nowy bicz. Ten się zużył.

Lis odwrócił się ku jeńcom, przerażonym, milczącym. Pochylił się, jedwabny kaptur mocno opiął mu pysk.

— Przyjrzełiście się dobrze? Bo dotyczy to także was! Każdy, kto będzie mi przeszkadzał, zanim z nim skończę, pożałuje, że sam nie odebrał sobie życia. Zrozumieliście?

Nieszczęsne stworzenia wyszeptały coś, co mogło oznaczać zgodę.

Slagar wspiął się na parapet wybitego okna. Usiadł na nim, patrząc w stronę Opactwa Redwall.

— Pokurcz, przynieś mi coś dobrego do jedzenia i butelkę wina z wozu — rozkazał.

Usłużna kuna pobiegła spełnić jego polecenie.

— Trzy Szpony, o zmierzchu staniesz na warcie. Miej oko na powracającego Vitcha.

Łasica zasalutowała.

— Tak jest, wodzu!